



STEFFEN MÖLLER

Moja
klasyczna
paranoja

STEFFEN MÖLLER

– absolwent filozofii i teologii protestanckiej na Wolnym Uniwersytecie Berlińskim. W 1994 roku przeniósł się do Warszawy, gdzie pracował najpierw jako nauczyciel języka niemieckiego w liceum, a potem jako lektor niemieckiego na Uniwersytecie Warszawskim oraz w Instytucie Austriackim. W 2001 roku zaczął występować jako komik sceniczny, rok później otrzymał drugą nagrodę na festiwalu kabaretowym PAKA w Krakowie. Znany z serialu *M jak Miłość* oraz programu telewizyjnego *Europa da się lubić*. W 2006 roku wydał książkę *Polska da się lubić* – subiektywny opis polskiej mentalności. Jej niemiecka wersja przez ponad czterdzieści tygodni figurowała na liście bestsellerów tygodnika „Der Spiegel”. W 2009 ukazała się w Niemczech *Vita Classica*, będąca podstawą polskiego wydania *Mojej klasycznej paranoi*. Autor mieszka w Warszawie i w Berlinie.

www.steffen.pl



Moja
klasyczna
paranoja



Anita Halina Janowska

Krzyżówka

Jerzy Krzyżanowski, Magda Krzyżanowska-Mierzewska

Według ojca, według córki

Philip Marsden

Dom na Kresach

Anda Rottenberg

Proszę bardzo

Magdalena Samozwaniec

Z pamiętnika niemłodej już mężatki

Michael Skakun

Scenariusz ocalenia

Andrew Tarnowski

Ostatni mazur

Rdzawe szable, blade kości...

STEFFEN MÖLLER

Moja
klasyczna
paranoja

Copyright © by Steffen Möller, 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

Ja lubię muzykę klasyczną, kelner zaś jest zwolennikiem tanga, więc gdy właśnie słucham koncertu Beethovena, zaczyna gwizdać tango tak ostentacyjnie, że nie ma rady – muszę odstąpić mu radio. Właśnie wczoraj poprosiłem go bardzo pokornie, żeby mi pozwolił posłuchać trochę, ale od tej chwili wszyscy w hotelu patrzą na mnie jak na mordercę, człowieka bez serca i zgniły płód feudalizmu. Koniec końców zwycięsko z tego wyszedł kelner, bo żeby zatrzeć w jego pamięci moje okrucieństwo, wszyscy goście jęli w dwójnasób okazywać mu serdeczność, tak że gdy upadł mu jakiś paperek, dwie staruszki i starzec rzucili się, by go podnieść.

Witold Gombrowicz, *Dziennik z Rio Ceballos*

Od wielu lat martwi mnie, że mój gust muzyczny odbiega od normy społecznej. W czternastym roku życia zacząłem słuchać muzyki klasycznej i od tego momentu należę do tej śmiesznej mniejszości, którą spokojnie można nazywać frajerami muzycznymi. Według statystyki muzyka poważna stanowi dziś zaledwie siedem procent wszystkich opublikowanych nagrań.

Poza muzyką uważam się jednak za człowieka otwartego, ciekawego świata i niebojącego się zmian. Jestem nieufny wobec sekciarzy, którzy zamykają się w swoich własnych światach. Moim zdaniem trzeba popierać integrację europejską, przeglądać recenzje aktualnych filmów kinowych i pisać esemesy, posługując się systemem T9. Jeśli ktoś nie wie, co to jest T9, i wciąż jeszcze mozolnie wystukuje esemesy, zamiast elegancko buszować po klawiaturze, musi się liczyć z szyderczym uśmiechem z mojej strony.

Dlaczego więc akurat ja wylądowałem w dźwiękoszczelnym getcie muzyki klasycznej, którego granice rozciągają się od Claudio Monteverdiego do Philipa Glassa, od Johanna Sebastiana Bacha do Krzysztofa Pendereckiego? Czemu anglosaska muzyka pop/rock, jeden z głównych filarów nowoczesnej edukacji, a może nawet ostatnia religia naszych czasów, nigdy nie poruszała mnie tak jak powinna?

Gdybym przynajmniej nawrócił się na klasykę dopiero po trzydziestce! Mógłbym wtedy z szelmowskim uśmiechem powiedzieć:

– To jasne, że jako piętnastolatek słuchałem AC/DC, The Police i Supertrampa. Ale pod koniec młodości przeżyłem cudowne nawrócenie. Z heavymetalowego Szawła stałem się adorującym Mendelssohna Pawłem.

Ale nie, niedany mi był prawidłowy rozwój muzyczny, i z tego powodu słowo „młodość” brzmi trochę dziwnie w moich ustach. Do wieku dwudziestu czterech lat kompletnie bojkutowałem muzykę pop/rock. Nie był to bunt jawny, wesoły, ekspresyjny, tylko ukryty, nieśmiały, wstydlivy. Gdy na wycieczkach szkolnych i prywatnych imprezach zaczynały się dyskusje o najnowszych przebojach, wołałem milczeć, żeby nie przyznać się do tego, że nie znam nawet takiego kawałka jak *Child in Time* Deep Purple. Na dyskotekę poszedłem po raz pierwszy, gdy miałem dwadzieścia lat, a ateistyczny hymn XX wieku, czyli piosenkę *Imagine* Johna Lennona, usłyszałem dopiero na polskiej wsi, koło Płocka, w wieku dwudziestu sześciu lat. Na krótko przedtem, w 1994 roku, poszedłem na pierwszy w życiu koncert rockowy, słynny występ Pink Floydów na stadionie olimpijskim w Berlinie, ale tylko dlatego, że jako student mogłem tam sprzedawać obwarzanki.

I tak wszystko się strasznie skomplikowało – cała moja młodość na podwórkach szkolnych, w uniwersyteckich stołówkach i wszelkich innych miejscach, gdzie spotykałem się z rówieśnikami. W przypadku młodego fana klasyki należałoby zamiast o „socjalizacji” mówić raczej o „asocjalizacji”. Odetchnąć mogłem tylko w opustoszałych, dźwiękoszczelnych sklepach z muzyką klasyczną, gdzie po szkole przeciskałem się między półkami, podpatrując emerytów erotomanów, którzy pytali sprzedawcę o *Bolero* Ravela.



Klasyka to piętno, a fan klasyki to frajer, przynajmniej dopóki ma mniej niż czterdzieści lat, nie obraca się w środowisku muzycznym i nie należy do arystokratycznej elity, która pije szampana na premierach w Salzburgu albo Bayreuth. Dwudziesto–dwudziestopięcioletni miłośnik klasyki uważany jest za rozpieszczonego wrażliwca, konserwatywnego wykształciucha, snobistycznego pedała, pięknoducha maminsynka, wstrętnego kujona.

Najlepszym przykładem posledniej roli muzyki poważnej we współczesnym świecie jest pewien eksperyment, przeprowadzany od paru lat na niektórych europejskich dworcach. W głównym holu przez całą dobę brzmi muzyka klasyczna. W Hamburgu słyszałem na przykład fragmenty koncertu skrzypcowego e-moll Feliksa Mendelssohna, w Kopenhadze zaś delektowałem się *II koncertem fortepianowym* Sergiusza Rachmaninowa.

Za tak prowokacyjnym zabiegiem nie stoi jednak jakiś zdziwaczały meloman w kierownictwie kolei niemieckich albo duńskich, lecz poważna socjologia. Badania policyjne wykazały bowiem, że utwory Mendelssohna albo Rachmaninowa wyraźnie redukują liczbę kręcących się na dworcach narkomanów i meneli. Cały dworzec, punkt zapalny na mapie każdego miasta, zwłaszcza w nocy, staje się bezpieczniejszy, gdy jest otulony płaszczem muzyki klasycznej. Nawet zwyczajni travellersi nie są już tak skorzy, by rozłożyć tam swoją karimatę. Wolą spać pod gołym niebem, gdzieś między kontenerami ze śmieciami.

Tylko ja, klasykofan, stoję w ogromnej hali i z ciekawością przysłuchuję się muzyce, mając wrażenie, jakbym był

kosmitą, który zakochał się w strachu na wróble, zamiast pierzchnąć czym prędzej.



A może się myłę? Może cierpię na manię prześladowczą? Czyż notowania muzyki klasycznej nie są całkiem wysokie? Czyż nie spowija jej otoczka elitarności i luksusowego blichtru? Sklepy z winami, w których grano muzykę klasyczną, informują, że obrót zwiększył się dwuipółkrotnie. „Przy czym klienci nie kupowali wcale większej liczby butelek, ale za to wybierali te droższe! Symfonie Mozarta – jak zresztą całą muzykę klasyczną – większość z nas kojarzy z kulturą wysoką i zapewne też z wyszukany gustem i prestiżem”*.

Drugi przejaw pozornego rozkwitu klasyki: sprzedaż płyt z muzyką poważną spadła zdecydowanie mniej niż w dziale muzyki popularnej. Przewiduje się, że hossa potrwa jeszcze dobrych parę lat. Wielkie wytwórnie hołdują więc dalej dość purystycznemu ideałowi muzyki klasycznej. Nie ma tam dużo miejsca na eksperymenty z nowymi nurtami muzycznymi. Gdyby młody pianista, jak Rafał Blechacz, włączył do programu swoich recitali muzykę pop, powiedzmy aranżacje Beatlesów, spotkałby się ze zdecydowaną dezaprobatą. Igraszki z tak zwanym cross-overem to głośny, medialny temat, ale tak naprawdę zarezerwowany dla małej garstki artystów, którym wolno więcej niż reszcie, nawet farbować włosy. Przedstawiciele tego rzadkiego gatunku to skrzypkowie David Garrett i Nigel Kennedy oraz pianista Lang Lang.

* Nicolas Guéguen, *G&G Dossier Kunst und Musik*, s. 74.

W akademickiej nauce muzyka popularna też jest tematem tabu. W roku 2000 uznany niemiecki muzykolog Peter Gülke wydał książkę o uniwersalnym tytule *Język muzyki*. Na 453 stronach wszystko dotyczy wyłącznie muzyki poważnej, od Johanna Sebastiana Bacha po Heinza Holligera. Klasyka jest tu uważana za jedyną prawdziwą muzykę, w odróżnieniu od muzyki „rozrywkowej” dla głupich mas.

Zazdroszczę takiej arogancji, bo nigdy nie było mnie na nią stać. Wychowałem się w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku, czyli w czasach, gdy nikt już nie miał wątpliwości co do absolutnego zwycięstwa muzyki pop/rock. Możliwe, że Niemcy kiedyś były największym rynkiem dla muzyki poważnej – ale dziś wystarczy jedna wizyta w jakiejś miejskiej filharmonii, żeby stwierdzić zupełny brak młodych ludzi na sali. Już moje pokolenie muzykę Bacha lub Szymanowskiego kojarzyło wyłącznie z domem starców albo nastrojem pogrzebowym, a prawdziwa przyczyna dość stabilnej sprzedaży klasycznych płyt wynika moim zdaniem głównie z tego, że przeciętny fan klasyki ma sześćdziesiąt pięć lat i po prostu nie wie, jak ukraść muzykę z internetu.



Dlatego już od najmłodszych lat starałem się ukrywać swoje dziwaczne upodobania muzyczne. Jeszcze całkiem niedawno, przed Bożym Narodzeniem, kiedy szedłem do kasy w Dussmannie, berlińskim megastorze na eleganckiej Friedrichstrasse, miałem cztery płyty w ręce, cztery różne wersje *II symfonii* Mahlera – *Zmartwychwstania*. Stojąc w kolejce do kasy, w ostatniej sekundzie nie wytrzymałem presji i sięgnąłem do pobliskiej półki po płytę angielskiego

zespołu Coldplay. Kasjer mógł więc pomyśleć, skanując moje zakupy, że płyty Mahlera to tylko prezent dla dziadka.

Na korytarzach urzędów albo w poczekalniach lotniskowych raczej nie pogwizduję już melodii Berlioza albo Szostakowicza, lecz bardziej popularne rzeczy, jak walc z *Ojca chrzestnego*. Robię tak, bo kiedyś przeżyłem niemiłe doświadczenie. Pewnego dnia w toalecie frankfurckiego lotniska gwizdałem sobie smutną melodię z opery *Rozamunda* Franza Schuberta. Nagle ktoś z sąsiedniej kabiny bardzo nieładnie zaczął mnie imitować, potwornie fałszując. Uciekłem w popłochu.

Jestem hipokrytą nawet w swoim własnym mieszkaniu, czy to w Berlinie, czy w Warszawie: słysząc dzwonek u drzwi, niechby to był tylko kominiarz albo hydraulik, szybko zmieniam płytę Beethovena albo Mozarta na modne piosenki Mike'a Pattona lub Chrisa Cornella. Nie mam ochoty, by ktoś dziwnie na mnie patrzył.

Gdy w pociągu Eurocity Warszawa–Berlin słucham muzyki, ściszam laptop najbardziej jak się da, żeby inni pasażerowie nie zorientowali się, co wybrałem. Raz przydarzyła mi się żenująca wpadka, gdy słuchałem na laptopie *III symfonii* Antona Brucknera i nie wcisnąłem prawidłowo wtyczki od słuchawek. Cały wars napełnił się pompatyczną Brucknerowską muzyką, a ja przez pięć minut nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo miałem słuchawki na uszach. Dopiero zdumione spojrzenia i półuśmieszki współpasażerów uświadomiły mi niezbitcie, że zostałem nakryty.

A może znowu mi się tylko wydawało, że inni tak dziwnie na mnie patrzą? Może wcale nie było półuśmieszków? Nie potrafię już się w tym rozeznąć. Dopadła mnie prawdziwa paranoja.



W pociągu do Warszawy, paranoja w oczach.

2 ŚWIĘTA GÓRA

Po prawie trzydziestu latach zdecydowałem się wyleczyć ze swojej paranoi. Przyznając się do wieloletniej hipokryzji, chciałem jednocześnie obalać pewne stereotypy dotyczące mojej muzyki.

Jeden z tych stereotypów można opisać tak: fan muzyki poważnej wyniósł swój gust muzyczny z domu rodzinnego, a więc jest konserwatywnym maminsynkiem, podczas gdy fan pop/rock jest dzielnym buntownikiem, który wyzwolił się spod władzy rodziny, tradycji, przeszłości.

By obalić ten stereotyp, chciałbym się bliżej przyjrzeć mojej muzycznej asocjacji.

Jestem synem, bratankiem, wnukiem i nawet prawnukiem ewangelickich pastorów. Nawet moi baby-sitterzy studiowali teologię.

Po takim wstępie zazwyczaj kończy się już dyskusja o źródłach mojego gustu muzycznego. „Teraz wszystko jasne!”, wołają ludzie, którzy nie mają pojęcia o zmianach w Kościele protestanckim, a dużo się zmieniło od czasów doktora Lutra.

Pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku mój ojciec był ewangelickim pastorem w miasteczku Wolfhagen, w północnej Hesji, niedaleko Kassel. Po publikacji doktoratu awansował na profesora i został przeniesiony do akademii

teologicznej w Wuppertalu, mieście liczącym czterysta tysięcy mieszkańców, położonym między Nadrenią a Zagłębiem Ruhry, pięćdziesiąt kilometrów od Kolonii. Akademia znajdowała się w jego centrum, na zalesionym wzgórzu zwanym Świętą Górą – z powodu jej pobożnych mieszkańców.

Naszą Świętą Górę polubili przede wszystkim nieśmiali studenci i studentki pierwszego roku, ponieważ wśród niepełna dwustu mieszkańców panowała rodzinna atmosfera. Nawiązując do prachrześcijańskich ideałów, profesorowie mieszkali w tych samych akademikach co ich studenci. Dlatego też my – moi rodzice, moi dwaj bracia i ja – wprowadziliśmy się do bocznego skrzydła dużego akademika. Od studenckiego korytarza dzieliły nas tylko cienkie drewniane drzwi. W weekendy odbywały się za tymi drzwiami studenckie imprezy, oczywiście tak głośne, że ojciec dziesięć razy musiał tam chodzić i grzecznie prosić o spokój, zawsze bez skutku.

Również moja matka miała ciężkie życie z kształcącymi się teologami. Akurat skończyła trzydzieści lat i z pięknych wakacji nad Bałtykiem przywiozła sobie do Wuppertalu wiklinowy kosz plażowy. Stał w ogrodzie naszego akademika, a na jego biało-czerwonej wyściółce opalała się małżonka profesora w niebieskim bikini. Coś takiego nie zdarzyło się w tej akademii od chwili jej założenia w latach trzydziestych. Nic dziwnego, że wielu studentów z okien swoich pokoi gapiło się na ogród, zamiast wkuwać hebrajskie słówka.



Wspólne życie ze studentami miało i dobre strony. Na wyciągnięcie ręki moi rodzice mieli całe tabuny potencjalnych baby-sitterów. Gdy wieczorem chcieli wyjść do kina,

wystarczyło, że powiesili w śmierdzącej kuchni studenckiej stosowną karteczkę. Zwykle po dwóch godzinach zgłaszał się ktoś chętny zarobić dziesięć marek za wieczór.

Jeden z naszych baby-sitterów posiadał dar prawdziwego showmana. Nazywał się Henning Trübel, nosił modne w tamtych latach ogromne okulary i uwielbiał brzdękolić na gitarze sacro pop. Pozostali opiekunowie w ogóle się nami nie interesowali – przez cztery godziny siedzieli ze słownikiem hebrajskim przed telewizorem – ale nie Henning Trübel. On od razu przychodził do naszego pokoju z gitarą; najpierw śpiewał obowiązkowe *Laudato si, o mio signore!*, a potem świeckie piosenki, na przykład balladę o pechowcu Walterze, której dziewięć strof znał na pamięć. Ostatnia była najlepsza. Zawsze nas rozśmieszała:

Życie nie szczędziło Walterowi wielu prób
i pech szedł za nim aż po grób.

Bo trumna z nim wypadła z rąk tragarzom. Zapanowała trwoga.
Przerażony ksiądz zawołał: „Walter, bój się Boga!”.

Później Henningowi Trübelowi przydarzyło się niestety to, co jego bohaterowi Walterowi: miał pecha na egzaminie z hebrajskiego, bo został złapany z olbrzymią ściągawką i musiał pożegnać się z akademią. Nie mam pojęcia, jak potoczyły się jego losy, miejmy nadzieję, że w końcu został pastorem i dziś wyśpiewuje gdzieś z ambony to swoje *Laudato si*.

Na pewno jednak nie męczy swoich parafian kantatami Bacha czy motetami Regera. Bo ani trochę nie był fanem klasyki. Zresztą jak większość jego kolegów. Należałoby raczej powiedzieć: wśród dwustu studentów i studentek akademii teologicznej miłośnika klasyki z lupą można by szukać. Wiem, co mówię, bo jako dziecko często przemyka-

łem przez drzwi łączące nasz korytarz ze studenckim i potajemnie dokonywałem inspekcji ich śmierdzącej kuchni. W pokojach studenckich rozbrzmiewało wszystko, tylko nie klasyka: głównie niemiecki rock, poza tym ballady Joan Baez i Boba Dylana. Wytarta wykładzina PCV na korytarzu falowała również w takt dudniących dźwięków Sex Pistols czy Joy Division.

Nie, stereotyp studenta teologii, który pogłębia swą wrażliwość, słuchając kantat Bacha czy *Missa Solemnis* Beethovena, uległ całkowitemu przedawnieniu. Owszem, oni uczyli się greki i hebrajskiego i wypisywali na prześcieradłach hasła buntu: precz z amerykańskimi raketami NATO, a jakże. Ale na starożytnych językach i na pacyfizmie wszystko się skończyło.



No i nie zapomnijmy o futbolu. Wszyscy studenci, nie tylko chłopcy, ale również dziewczyny, grali w piłkę nożną, i to na bardzo wysokim poziomie, biegając w korkach i ochraniaczach na nogi.

Za akademikami rozciągała się duża łąka i boisko wysypane żużlem, z trzema kałużami, które wysychały tylko w lipcu. To tam po południu, po wspólnym obiedzie w stołówce, grało się w piłkę, siedem dni w tygodniu. Nam, dzieciom wykładowców, pozwalano łaskawie zagrać, ale tylko w obronie.

Głównym wydarzeniem każdego semestru były piłkarskie mistrzostwa akademii, w których poszczególne korytarze wszystkich trzech akademików rywalizowały ze sobą przez kilka tygodni. Dzień finału rozpoczynał się od wspólnej zabawy, mianowicie meczu profesorów z żeńską druży-

ną, czyli wysportowanymi studentkami teologii. Mój ojciec stał wtedy na bramce i nie potrafił obronić najłatwiejszych strzałów dziewczyn. Nam, jego synom, było z tego powodu strasznie wstyd, ale tatuś świetnie się przy tym bawił. Na szczęście nie on jeden okazał się antytalentem, lecz wszyscy jego koledzy. Należało współczuć tym naukowcom, którzy tak niezdarnie biegali po boisku. Prawie zawsze nabawiali się poważnych kontuzji, a pod koniec meczu wykładowca od Nowego Testamentu siedział oszołomiony na żuźlu, dogmatyk miał zabandażowaną głowę, a profesor od historii Kościoła chodził po polu karnym, kulejąc, bo zamiast w piłkę kopnął w słupek.

Jako kibic miałem więc wystarczająco wiele okazji, by się wstydzić za swoje teologiczne pochodzenie i przysięgać na wszystkie świętości, że całe życie będę łamał stereotyp syna pastora.

Niestety tylko w piłce mi się to udało. Mogę się chwalić, że przynajmniej po mojej grze nikt mnie nie podejrzewał o chrześcijańskie pochodzenie. Nie było dnia, żebyśmy, mój brat Tilman i ja, nie trenowali na żuźlowym boisku. Podczas gdy Tilman wyrastał na świetnego obrońcę, ja jako niezawodny snajper czekałem na polu karnym przeciwnika na dobre podania – zazdrośni przeciwnicy przezywali mnie z tego powodu „ochłapiarzem”.

Później stworzyliśmy z bratem własną drużynę złożoną tylko z profesorskich synów, która gromiła tych wysportowanych studentów teologii, raz nawet wygrywając 62:2. Zostałem królem strzelców, bo w całym turnieju zaliczyłem ponad pięćdziesiąt goli. Mimo to do dziś nie mam odwagi wyznać kolegom z zespołu, że już wtedy byłem fanem klasyki.



Tak to wygląda: nie tylko kandydaci na teologów, ale również moi koledzy z podwórka, czyli inni profesorscy synowie, nigdy nie słuchali Mozarta czy Beethovena. Nasi ojcowie, nieudolni piłkarze, stanowili chyba ostatnie pokolenie teologów, które posiadało jeszcze płyty analogowe z muzyką poważną.

A jak poza tym wyglądało nasze życie na Świętej Górze?

Przed wszystkim skromnie. Meble pochodziły najczęściej z Ikei, wakacje spędzano nad Morzem Północnym albo nad Bałtykiem, bez zagranicznych przygód. Wieczorem dla relaksu oglądało się telewizję, rzadko szło się do teatru, opery, kabaretu czy kina. Nie pamiętam też, by moi rodzice kiedykolwiek zwiedzili wystawy malarstwa – całe to burżuazyjne spektrum kulturalne nie budziło ich zainteresowania. Nie było też domowych kwartetów smyczkowych, czytania dramatów z podziałem na role, nie prenumerowaliśmy opiniotwórczych dzienników. Czytało się wyłącznie lokalną prasę, czyli „Wuppertaler Generalanzeiger”. Największą atrakcją kulturalnego życia naszej akademii były podwieczorki studentów, kiedy w przystrojonej girlandami stołówce odgrywano skecze kpiące z profesorów czy wykonywano stuzwrotkowe ballady gitarowe.

Czasami mama zapraszała do naszego stolika kolegów taty; dyskutowano wtedy o synodach okręgowych, polityce i piłce nożnej. Nikt nie rozprawiał o sztuce albo estetyce, nie mieliśmy też na półce ulubionych książek mieszczań, żadnego Goethego, żadnego Thomasa Manna, którego słynnych powieści mój tata nie czytał, bo uważał je za grafomanię. Za to bardzo cenił amerykańskiego pisarza skandalistę Henry’ego Millera, gorliwie podkreślając, że nie z powodu



Ewangelicka Akademia Teologiczna w Wuppertalu. Z prawej widać akademik, w którym mieszkaliśmy przez siedemnaście lat.

scen erotycznych, tylko ze względu na antyamerykańską wymowę.

Według mnie sztuka odbierana była przez teologów jako konkurencja dla religii – w każdym razie na Świętej Górze ignorowano ją dość znacznie. Tylko muzyka stanowiła wyjątek – wszyscy teologowie lubili śpiewać. Podczas modlitw porannych w Auditorium Maximum, na które codziennie o dziesiątej zwoływały dzwony, śpiewano przeróżne pieśni religijne, czy to chorały Bacha, piosenki sacro pop, czy pieśni z Taizé.

Z czasem ukułem sobie teorię, skąd się bierze protestanckie zamiłowanie do muzyki. Była ona jedynym sposobem – poza nauką – by głosić trudną wiarę chrześcijańską bez narażania się na śmieszność. Owszem, na Świętej Górze można było zetknąć się z prawdziwą chrześcijańską wiarą, ale bez żadnej zmysłowości, bez radości, tylko pod ścisłą kontrolą nauki i rozumu. Wzorem byli wielcy teologowie Karl Barth i Dietrich Bonhoeffer (uważany za męczennika, bo został zabity przez nazistów w 1945 roku).

Panowała więc pewna pruderia religijna. Nikt nie opowiadał o swoich przeżyciach religijnych, nie modlono się publicznie. Do pojęć takich jak Bóg, Jezus czy zmartwychwstanie zmarłych właściwie na co dzień się nie odwoływano. Nie mówiło się u nas w domu: „to leży w boskich rękach”, lecz „to leży w innych rękach”. Nie żegnano się, a modlitwę przed jedzeniem odbębniano na pozór, bez zaangażowania.

Wyjątkiem od tej religijnej ascezy był właśnie śpiew. Dopiero w śpiewie poważne twarze mojego taty i jego kolegów się rozjaśniały, dopiero w nim znajdowało się rozwiązanie wszystkich problemów wiary. Nic dziwnego, że Johanna Sebastiana Bacha czczono prawie jako piątego ewangelistę.